

1

Wrocław, 17 września 2017 r.

– Właściwie zabijałem, odkąd pamiętam. Zacząłem od zabijania zwierząt. Pierwszą ofiarą był kot sąsiadów. To było u babci na wakacjach. Mieszkała na wsi. Miałem zaledwie siedem lat. Zabiłem go kamieniem. Podchodził do mnie i się łąsił. Jedną ręką głaskałem go po plecach, a drugą sięgnąłem po kamień. To był chyba pierwszy raz. Potem było więcej zwierząt. Ptaki złapane w siatkę, psy, jeże, najczęściej jednak koty.

Spojrzał na pozostałych mężczyzn zebranych w pokoju i wskazał na paczkę papierosów leżących na blacie biurka, przy którym siedział. Gdy otrzymał pozwolenie, wziął jednego i odpalił. Przez kajdanki szło mu trochę niezręcznie. W końcu jednak wydmuchał w powietrze chmurę dymu i kontynuował:

– Człowieka zabiłem pierwszy raz, gdy miałem dziesięć lat. Koło mojego domu, a mieszkaliśmy wtedy na Balonowej, były stare poniemieckie bunkry. Wszystkie dzieciaki tam chodziły, choć rodzice nie pozwalali. Wicie, jak to jest. Starzy się martwią, ale gówniarze mają to w dupie. Na tych bunkrach starsi od nas pili alkohol i palili papierosy. Młodzi bawili się w chowanego albo berka. Wtedy były takie zabawy... – Uśmiechnął się i zaciągnął głęboko. – Była nas chyba dziesiątka dzieciaków. Graliśmy w chowanego. Odkryci siadali na starym korzeniu. Trochę wtedy padało, było ślisko i zabawa miała się ku końcowi. W końcu i ja zostałem odkryty. Już miałem schodzić na korzeń, gdy ją zobaczyłem. Chowala się w jakimś zakamarku. Basia, tak miała na imię. Przytuliła się mocno do ściany bun-

kra. Z jednej strony miała tę ścianę, a z drugiej było chyba z osiem metrów w dół. Postanowiłem wtedy, że ją zepchnę. Gdy podszedłem bliżej, pokazała mi gestem, abym jej nie zdradził. Odwróciła głowę i wtedy ją popchnąłem. Nie zdążyła nawet pisnąć, tak była zaskoczona. Widziałem, jak spada na żelbetową część bunkra, odbija się od niej i leci jeszcze kilka metrów niżej. W miejscu, gdzie uderzyła głową, został krwawy ślad. Gdy tak leżała na ziemi, zacząłem krzyczeć, że Basia spadła. Wszyscy się zlecieli. Nie pamiętam nawet, kiedy pojawiła się milicja i pogotowie. Wiecie, wtedy jeszcze była milicja. To był osiemdziesiąty ósmy rok, komuna miała się ku końcowi...

Wziął kilka łapczywych machów i zgasił peta w popielniczce. Językiem kilka razy zwilżył usta.

– Większych problemów z tego zepchnięcia nie było. Milicja przysłuchiwała, rodzice straszili konsekwencjami. W sumie tylko takie gadanie. Uznano, że śmierć Basi była nieszczęśliwym wypadkiem. Dostaliśmy od starych zakaz chodzenia na te bunkry. Oczywiście nic sobie z tego nie zrobiliśmy. I to był mój pierwszy raz. Kolejny był mały Jasio. To było rok po śmierci Basi. Pojechałem na kolonię do Karpacza. Wycieczki były nawet ciekawe, chodziliśmy po górach, graliśmy w piłkę. Robiliśmy to, co robią dzieci w tym wieku na koloniach. Pamiętam, że do końca turnusu zostały dwa dni. Jasio był łakomczuchem i lubił się wymykać z ośrodka przez dziurę w płocie. Chodził do sklepu po jakieś landrynki. Wiem, bo kiedyś go śledziłem. Tego dnia widziałem, jak znów się wykrada. Poszedłem do kuchni i wyjąłem z szuflady długi nóż. Schowałem go pod koszulkę i poszedłem za Jasiem. Zaczekałem w krzakach, aż będzie wracał. Gdy był już blisko, wyskoczyłem i uderzyłem go kilkanaście razy w plecy. Tym nożem. Wiecie, jak dużo krwi jest po takim ataku? No, może nie dużo, ale dla takiego dzieciaka jak ja to było dosłownie morze krwi. Wróciłem do ośrodka. Z tym nożem. W pokoju szybko się umyłem i przebrałem, a potem poszedłem pokopać w piłkę. Ale gra mi nie szła, co chwila zerkałem w stronę plotu, zastanawiając się, czy go znaleźli. Zamieszanie zrobiło się dwie godziny później, jak szliśmy na kolację. Opiekunki nas policzyły i stwierdzi-

ły, że jednego brakuje. Najpierw szukali Jasia w ośrodku, bez rezultatów. Ja w tym czasie siedziałem w pokoju i zastanawiałem się, jak się pozbyć noża, który miałem w torbie. Milicja przyjechała w miarę szybko. Szybko też znalazła zwłoki przy płocie.

Sięgnął po kolejnego papierosa. Tym razem odpalił już sprawnie.

– Rano, gdy pojawiła się ta milicja i zaczęła przesłuchiwać wszystkie dzieciaki, to zastanawiałem się, czy przypadkiem nikt mnie nie widział, jak wtedy wracałem do ośrodka. Przyjechali rodzice Jasia. Płakali. Gdy milicjant wezwał mnie do pokoju i spytał, czy coś mi wiadomo o zniknięciu kolegi, powiedziałem, że Jasio dzień wcześniej pochwalił mi się, że spotkał kogoś znajomego. Ten mężczyzna kazał mu mówić do siebie „wujku” i częstował Jasia słodyczami. Powiedziałem, że Jasio wykrada się do tego wujka i wczoraj chyba też miał się z nim spotkać. Powiedziałem też, że raz Jasio proponował mi, żebym poszedł z nim, ale się bałem. Policja mi uwierzyła. W dodatku znaleźli przy Jasiu słodycze. Po powrocie z kolonii słyszałem, jak moi rodzice mówili między sobą, że w Karpaczu jakiś pedofil zabił dzieciaka. Gdyby znali prawdę, chyba osiwieliby w jeden dzień.

– A... nóż? – spytał Adam Bojarski.

– Nóż?

– Ten, którym zabiłeś Jasia.

– Przywiozłem go do Wrocławia. Jeszcze pięć lat temu go miałem. Posłużył mi potem kilka razy, ale o tym później. Z tego, co wiem, nikt nigdy nie wyjaśnił tej sprawy do końca. Może nawet zbytnio się nie starano. Kończyła się komuna i milicja miała ważniejsze problemy na głowie niż szukanie jakiegoś „wujka”.

Wziął kolejnego macha. Chwilę milczał, jakby układał sobie coś w głowie.

– Potem miałem przerwę – odezwał się znowu. – Nie zabijałem aż do osiemnastych urodzin. W dniu imprezy ostro popiłem z kolegami. Łaziliśmy bez celu, szukaliśmy zadymy. Wybiliśmy kilka szyb na przystankach, wyrwaliśmy jakieś lustro w samochodzie. W sumie nic groźnego, ale zawsze to zastrzyk adrenaliny. Pamiętam, że odłączyłem

się od reszty chłopaków. Chciało mi się łać i poszedłem za bramę. Jak łałem, to poczułem, że ktoś mnie popycha. Obróciłem się i zobaczyłem jakiegoś gościa około czterdziestki. Stał i patrzył na mnie, jakbym mu skrzywdził córkę. Wydzierał się, krzyczał, że jestem świnią i leję mu pod bramę, a poza tym widział, jak wyrwałem lustro. Powiedział, że na policję zadzwoni. Zapiąłem rozpiętkę i popatrzyłem dookoła. W pierwszej chwili chciałem uciekać, ale potem zauważyłem duży kamień. Taki kilogramowy, w sam raz pasujący do ręki. Przywaliłem mu tym kamieniem prosto w głowę. Trafiłem akurat w nos. Potem poprawiłem w skroń. Facet tak jak stał, tak padł na ziemię. Pochyliłem się nad nim i jeszcze kilka razy poprawiłem. Z twarzy była miazga. Wtedy o mało co nie wpadłem. Wziąłem ten kamień i zacząłem uciekać. W oddali słyszałem jakieś krzyki. Ktoś widział z okien, co zrobiłem, i starał się zaalarmować okolicę. Zwiąłem do domu i szybko spakowałem kilka rzeczy w torbę. Wtedy postanowiłem uciec z chaty. Starzy spali, więc nic nie słyszeli. Zresztą w tamtym czasie mało ich obchodziłem. Mieli swoje problemy, chcieli się rozwieść. Pojechałem do kolegi z technikum. Mieszkał w okolicy Trzebnicy. Spędziłem u niego dwa tygodnie. Potem wróciłem do domu. Okazało się, że policja już była u moich rodziców i że mnie szukają. Postanowiłem się zgłosić sam. Pojechałem na komisariat na Połbina i dyżurnemu powiedziałem, że ponoć policja mnie szuka. Podczas przesłuchania okazało się, że kilku świadków widziało, jak łażaliśmy z kolegami po osiedlu, szukając dymu. W taki sposób policja ustaliła nasze dane. Kumple powiedzieli zgodnie, że cały czas byliśmy razem. Zeznali też, że w pobliżu kręciła się jakaś grupa z Kożanowa i szukała awantury. Policjanci starali się używać różnych sztuczek, aby rozbić naszą solidarność, ale nie udało im się. A nie mogli wszystkich nas oskarżyć o zabójstwo. Jeszcze ten mój kolega z Trzebnicy zeznawał na moją korzyść. Powiedział, że przyjechałem do niego rano i nie widział żadnych śladów krwi na moim ubraniu. Postawiono mi tylko zarzuty za wybicie szyby na przystanku. Dostałem kolegium. Matka zapłaciła i było po sprawie. Od tamtego czasu się zmieniłem.

Nie piłem, nie włóczyłem się po nocach, wziąłem się za naukę. Wszyscy myśleli, że to kolegium i podejrzenia policji spowodowały zmianę. Ale ja postanowiłem, że nie popełnię więcej takiego błędu, jak z tamtym facetem. Postanowiłem, że nie będę zabijał w swojej okolicy.

Bojarski wstał i zaczął krążyć po pokoju. W pewnej chwili zatrzymał się i spojrzał na zatrzymanego.

– Chcesz kawy? – zapytał. – Przesłuchanie jeszcze trochę potrwa. Mężczyzna skinął głową.

– A ty, Mikun? – Bojarski zwrócił się do swojego kolegi.

Komisarz Marek Mikulski tylko pokręcił głową.

– Młody, załatw jakiś czajnik, kubki i kawę – Bojarski rzucił w stronę posterunkowego stojącego przy drzwiach. – I jeszcze jedną paczkę fajek. Posiedzimy tu jeszcze. – Możesz kontynuować. – Spojrzał na przesłuchiwanego, kiedy drzwi się zamknęły.

Mężczyzna uśmiechnął się pod nosem.

– Potem było kilka lat spokoju. Poszedłem do wojska. Byłem w jednostce w Żaganiu, u czołgistów. Tam nie zabiłem nikogo, chociaż podczas warty mnie kusilo. Powiedziałbym, że broń sama wypaliła. Jednak nie zdecydowałem się na taki krok. Gdzieś tam z tyłu głowy miałem, że ktoś mógłby pokoiarzyć fakty. Wyszedłem z wojska i postanowiłem się ustatkować. Poznałem kobietę i z nią zamieszkałem. Podjąłem pracę w Biedronce na osiedlu. Pracowałem na kasie i na magazynie. Robota ciężka, ale dawała jako takie poczucie bezpieczeństwa. Bezrobocie wtedy było wysokie, więc się nie wybrzydzało. Z tą kobietą, Małgosią, postanowiłem się ożenić. Rodzice pomogli nam zorganizować ślub i wesele. Po roku urodził się nam Krzysiu. Wszystko układało się dobrze, ale czegoś mi brakowało. Byłem głodny adrenaliny. Wiele razy w głowie pojawiała mi się myśl, aby uduśić poduszką Krzysia, ale w porę się opamiętywałem. Po czymś takim nie wywinąłbym się tak łatwo, jak dotychczas. Aby spełnić swoje pragnienie zabijania, postanowiłem zmienić pracę. Najpierw zostałem przedstawicielem handlowym firmy sprzedającej kawę. Jeździłem po Dolnym Śląsku, głównie po sklepach na wioskach, i starałem się pozyskać klientów. Wtedy

zabiłem kolejny raz. Jak jechałem do Sobótki, zauważyłem przy drodze autostopowicza. Facet miał około trzydziestki i wyglądał jak bezdomny. Zabrałem go do samochodu. Jechaliśmy przez kilka kilometrów, rozmawiając o duperelach. W pewnym momencie zjechałem na leśny parking i powiedziałem mu, że muszę się wylać. Facet wysiadł z samochodu i odpalił papierosa. Wtedy zaszedłem go od tyłu i walnąłem kamieniem. Drugi kamień w moim arsenale. Facet upadł. Jęczał i błagał o życie. Wyjąłem z bagażnika klucz do kół. Tym kluczem waliłem w jego głowę chyba ze dwadzieścia razy. Gdy facet już się nie ruszał, wziąłem go pod pachy i zaciągnąłem w krzaki. Schowałem klucz do bagażnika i odjechałem. Nie wiem, czy ktoś odnalazł zwłoki. Nie interesowałem się tym więcej. Potem pojechałem do Sobótki i podpisałem kontrakt życia. Miałem dostarczać kawę do kilku sklepów należących do jednego właściciela. Pracując jako przedstawiciel tej firmy, zabiłem jeszcze dwa razy. Raz taką młodą dziewczynę. Wracała z dyskoteki, a ja zatrzymałem się i spytałem, czy ją podwieźć. To były okolice Oleśnicy. Dziewczyna była podpita i zaczęła się do mnie kleić. Sama zaproponowała, że mi obciągnie. Zjechałem w boczną uliczkę i zrobiła mi loda. Po wszystkim wysiedliśmy z auta i zapaliliśmy papierosy. Gdy opowiadała jakieś pierdoły, wyjąłem z bagażnika sznur. Podeszedłem od tyłu i zarzuciłem jej go na szyję. Dusilem ją, a ona wierzgała i starała się mnie złapać za głowę. Gdy zwiotczała, to zdjąłem ten sznur. Ciało zaciągnąłem do małego zagajnika i przykryłem gałęziami.

– Skąd sznur? – spytał Bojarski.

– Sznur? Aaa... Żona poprosiła, żebyśmy kupił. Mówiła, że trzeba zmienić na balkonie, bo ten stary brudzi ubrania. Kupiłem i wozilem w bagażniku ze dwa dni. Tego, którym zabiłem tą laskę, nie mogłem już wziąć do domu. Wywaliłem go w okolicach Bielan i kupiłem nowy.

– Uhm... kontynuuj.

– Kolejny był menel, taki wioskowy żulik. Kilka razy, jak jechałem w stronę Oławy, zatrzymywałem się w jednej wiosce. W sklepie kupowałem papierosy albo coś słodkiego, batonika, czekoladę. Jak się dużo jeździ, to czasem trzeba coś zjeść, a słodczyce dają energię. Pamiętam tego

menela, zawsze mnie zaczepiał. Chciał, żebym kupił mu piwo, a mnie wkurwiało takie zebranie. Jak kiedyś wracałem z roboty, a był listopad, ciemno na dworze, prawie go potrąciłem. Pijany, wylazł na sam środek jezdni, nie miał kamizelki odblaskowej, ledwo go widziałem. Zahamowałem w ostatniej chwili i wyszedłem go opieprzyć. Był tak pijany, że ledwo stał. Wtedy przypomniałem sobie, że mam w aucie czteropak tyśkiego. Wyjąłem browce i pokazałem menelowi. Oczy mu się rozszerzyły i wsiadł do auta. Przejechaliśmy może kilometr, zanim zatrzymałem się przy starej opuszczonej ruderze. Żuł wysiadł z auta, wziął piwo i poszedł do tej opuszczonej chałupy. A ja wyjąłem z bagażnika kanister z benzyną. Zawsze woziłem kanister. Zaczekałem, aż facet zaśnie, oblałem benzyną ruderę i podpaliłem. Jak płomienie wystrzeliły do góry, odjechałem. Na drugi dzień na wiosce dowiedziałem się, że spłonęła jakaś chałupa, a w środku znaleziono zwęglone zwłoki mężczyzny. Straż podejrzewała, że facet popił i sam zaproszył ogień, chcąc się ogrzać. Według policji mógł nawet nie wiedzieć, że płonie, taki był pijany. Śmiałem się z nieudolności policjantów i strażaków. Jakby dokładniej wszystko sprawdzili, mogliby przecież ustalić, że pożar powstał w wyniku podpalenia benzyną. Tak przynajmniej mi się wydaje.

Do pokoju wrócił młody posterunkowy z czajnikiem i kubkami. Za nim szedł drugi policjant; niósł paczkę kawy i papierosy. Postawili wszystko na blacie stołu i stanęli przy drzwiach.

– Mów dalej – powiedział Bojarski.

– Potem było jeszcze kilkanaście ofiar. Wszystkie pamiętam, ale kilka utkwilo mi w pamięci lepiej niż inne. Na przykład bezdomnego na stacji we Wrocławiu zadźgałem nożem. Tym samym, który zabrałem z tamtej kolonii. W końcu postanowiłem zmienić pracę...



– Uważasz, że Mikun powinien być obecny przy tym przesłuchaniu? – zapytał nadkomisarz Marian Świdorski, naczelnik wydziału zabójstw, odwracając się od lustra weneckiego.

– To on doprowadził do zatrzymania Zwierza – odparł inspektor Witold Gębara, pełniący obowiązki komendanta wojewódzkiego policji we Wrocławiu. – Gdyby nie Mikulski, wciąż błędzilibyśmy po omacku.

– Mimo wszystko mam wątpliwości. Zwłaszcza po tym, co ten skurwiel mu zrobił. Ale mniejsza z tym. Wiesz, co mnie wkurza najbardziej? Pieprzone media. Obstawili cały budynek, widziałeś? Wozów transmisyjnych jest więcej niż podczas Euro.

– Tego nie unikniemy. Nieczęsto się zdarza zatrzymanie największego seryjnego zabójcy w historii kraju. A w dodatku to lokalna gwiazda.

– Chciałbym, żeby już go wsadzili. Widzisz ten cyrk? Czarni na korytarzu, dziesiątki chłopaków wokół budynku. A zobaczysz, jak będziemy go przewozić do aresztu. Niby dwieście metrów, ale trzeba dmuchać na zimne.

Gębara doskonale wiedział, że to najważniejsza sprawa, jaka trafiła do komendy wojewódzkiej od czasu, gdy objął stanowisko jej komendanta. Najważniejsza, o jakiej słyszał, w tej części Europy.



– Postanowiłem założyć firmę. Małgosia znów była w ciąży. Miała się urodzić Dżesika, więc potrzebowaliśmy kasy. Wpadłem na pomysł, że będę pracował jako taksówkarz. Niestety, nie udało mi się zdać egzaminu z topografii miasta. Postanowiłem więc zacząć od rozwożenia pizzy. Kasa niczego sobie, a i jakiś napiwek zawsze wpadł. Działalność musiałem odłożyć na późniejszy okres, bałem się, że nie dam rady opłacać tych wszystkich ZUS-ów i takie tam. Do własnej firmy przejdę później. A więc jak zostałem dostawcą żarcia ciężko było wyjechać, żeby kogoś zabić, ale okazja nadarzyła się sama. Któregoś dnia dowoziłem pizzę do jednej studentki. Zaprosiła mnie do domu, a gdy szukała pieniędzy, chwilę z nią pogadałem. Dowiedziałem się, że to jej pierwszy dzień w mieście – przyjechała na studia. Powiedziała, że jeszcze dziś nic nie jadła i pizza musi jej wystarczyć. W pewnym momencie spytała, czy wiem, gdzie jest kino Helios. Powiedziałem jej, a ona na to, że jest tam umówiona z koleżanką

na jakiś film o dwudziestej. To mi wystarczyło. Po pracy wróciłem pod jej dom. Czekałem, aż będzie wracała z kina. Gdy w końcu się pojawiła, wyszedłem jej naprzeciw. Od razu mnie rozpoznała, bo trzymałem pusty karton po pizzy. Spytała, czy ktoś z jej klatki zamówił pizzę, a ja potwierdziłem. Bez żadnych podejrzeń otworzyła mi drzwi i wsiedliśmy do windy. Wtedy uderzyłem ją takim ciężkim odważnikiem, jak kiedyś w sklepach były przy wagach. Upadła od razu. Wjechaliśmy windą na samą górę wieżowca. Wyciągnąłem ją z kabiny, zaciągnąłem pod właz na dach i tam udusiłem. Po wszystkim zjechałem na dół. Oczywiście puste opakowanie po pizzy zabrałem ze sobą. W tamtym okresie jednak polowałem głównie na bezdomnych. Łatwo było ich zwabić w jakieś ustronne miejsce pod pozorem kupna piwa lub wina. Takich meneli zabiłem w sumie chyba pięćciu. Śmiercią bezdomnych nikt się zbytnio nie przejmuje, pod warunkiem że zgony są od siebie oddalone w czasie. Policja pewnie nie łączy ich ze sobą. Raczej traktują to jako wewnętrzne porachunki meneli. Jeśli w ogóle znajdą zwłoki. Kilka ofiar ukryłem tak, żeby nikt ich nie znalazł.

Mikun spojrzał na Bojarskiego. Obaj pamiętali serię tajemniczych zgonów bezdomnych sprzed kilku lat. Sugerowali wtedy, że mogą być ze sobą powiązane, ale przełożeni olali sprawę.

– W tamtym czasie polubiłem też jeżdżenie pociągami. Wsiadałem w pociąg we Wrocławiu i jechałem, na przykład do Głogowa. Po drodze często trafiały się samotnie podróżujące osoby. Były łatwym celem. Wsiadał taki człowiek w Głogowie, a ja szedłem za nim. Jak się nadarzała okazja, to działałem. W tamtym czasie głównie używałem tego noża, co go miałem z czasów kolonii. Niekiedy też dusiłem. Pamiętam, jak raz do przedziału wsiadł jakiś facet. Opowiadał, że jedzie się oświadczyć. Pokazywał pierścionek zaręczynowy. Przegadaliśmy całą drogę. Obaj jechaliśmy do Opoła. Na dworcu, kiedy on wstał z miejsca, to ja też wstałem. Zrobiłem to tak gwałtownie, że na niego wpadłem. Nawet nie widział noża. Dostał prosto w serce. Upadł na miejsce, gdzie wcześniej siedział. Chyba od razu zmarł. Wysiadłem z pociągu i uciekłem z tego dworca. Do domu wróciłem busem. W telewizji słyszałem o zwłokach znalezionych w pociągu, policja

szukała sprawcy. Podawali nawet mój rysopis, ale niewiele się zgadzało. Znowu mi się upiekło. To było chyba w dwa tysiące ósmym. Miałem rok przerwy od zabijania. Skupiłem się na życiu rodzinnym. Małgosia urodziła Dżesikę, ale mała była chora, miała autyzm. Staralem się jakoś pomagać żonie. Krzysio był już starszy i wymagał mniej uwagi niż Dżesi. Pamiętam, że pojechaliśmy wtedy na wakacje nad morze. Dokładnie do Mielna. Gosia z dziećkami siedziała na plaży, a ja poszedłem po smażoną rybę. Nagle zobaczyłem, jak na wydmy wchodzi kobieta. Podejrzywałem, że chciała się wylać, a szkoda jej było pieniędzy na publiczny kibel. Poszedłem za nią i zaszedłem od tyłu, akurat jak kończyła szczać. Złapałem ją za szyję i zacząłem dusić. Gdy już leżała na ziemi martwa, rozebrałem ją i upozorowałem wszystko tak, jakby padła ofiarą gwałciiciela mordercy. Jak zszedłem z wydmy, to trochę się obawiałem, że mnie ktoś zauważy, ale każdy był zajęty swoimi sprawami. Kupiłem żarcie i wróciłem do moich na plażę. Gdy jedliśmy, zrobiło się zamieszanie. Okazało się, że jakiś stary facet, co też chciał się wylać na wydmie, znalazł zwłoki. Przyjechała policja i pogotowie. Zeszliśmy z plaży, bo nie chcieliśmy narażać dzieciaków na oglądanie takich rzeczy.

– Chcesz powiedzieć, że zabiłeś kobietę, a potem spokojnie razem z rodziną jadłeś rybę? – spytał Bojarski.

– Niezłe, co?

– Raczej chore. Co było dalej?

Mężczyzna sięgnął po papierosa.

– Można prosić o kawę? – spytał, zanim odpalił.

– Zrób trzy – mruknął Bojarski w stronę posterunkowego.

– A więc, co było dalej... Hmm, niech pomyślę. A, już wiem. Wróciliśmy z wakacji i Małgosia postanowiła, że zabierze dzieciaki jeszcze na wieś do rodziców. Ja planowałem remont. Pierwszy wieczór, jako słomiany wdowiec, spędziłem w knajpie. Tam usłyszałem o seks randkach z internetu. Jakichś dwóch leszczy rozmawiało o portalu, gdzie laski się umawiają na seks. Czasem za kasę, a często po prostu dlatego, że lubią się pieprzyć. Postanowiłem to wykorzystać. Oczywiście nie po to, żeby poruchać. Nie

miałem zbyt dużych potrzeb w tym zakresie. Lepsze orgazmy zapewniało mi zabijanie. Postanowiłem, że będą się umawiać na seks z takimi laskami i w miarę możliwości je zabijał. Oczywiście musiałem być bardziej ostrożny. Pannom wysyłałem zdjęcie przypadkowego gościa, którego sfotografowałem na ulicy. Facet nawet nie wiedział, że został wykorzystany...

– Wiedział – wtrącił Bojarski. – Został nawet zatrzymany. Kilka ofiar miało na komputerze jego zdjęcie. Były też ślady korespondencji. Facet spędził trzy miesiące w areszcie.

– O, nie wiedziałem! Hahahahaha. Miał peszka. Ja zawsze starałem się być ostrożny. Korespondowałem z dziewczynami z kafejek internetowych. Łaziłem tam w przebraniu i starałem się unikać spojrzeń innych klientów. Często też zmieniałem lokale. Jedna wizyta, potem kilka miesięcy przerwy. A więc ten facio trafił do aresztu?

– Tak. Wyszedł, kiedy odnaleziono kolejne zwłoki. Miał niepodważalne alibi: siedział.

– No to mu się upiekło. Ale to nie mój problem. A więc umawiałem się z laskami na mieście i jak nadarzała się okazja, zabijałem. Głównie dusiłem, ale pamiętam taką jedną, która strasznie mnie wkurwiła. Od początku robiła miny. Czułem, że mnie prowokuje. Słyszałem te miny nawet, jak na nią nie patrzyłem. Była trochę grubsza i ewidentnie chciała się bzykać. Zaproponowałem, żebyśmy pojechali do motelu albo w jakieś ustronne miejsce. Ostatecznie postanowiliśmy pojechać do lasu. Gdy zboczyłem na ścieżkę, ta od razu zaczęła się do mnie dobierać. Powiedziałem, że wolę na dworze i mam kocyk w bagażniku. Gdy wysiedliśmy, ona się odwróciła, a wtedy założyłem jej na głowę foliowy worek. Taki na gruz, co go kupiłem kiedyś w Castoramie, żeby ten remont zrobić. Gruby i mocny. Szarpała się, ale zaciskałem coraz mocniej. Gdy już poczułem, że osłabła, zdjąłem ten worek i popatrzyłem jej w oczy. Były rozszerzone ze strachu. Patrząc na nią, wbiłem jej śrubokręt w oko. Kilka razy wierzgnęła i zdechła. Ciało wciągnąłem w krzaki i poszedłem po łopatę. Zakopałem ją. W tamtym okresie starałem się ukrywać ciała, aby nie skojarzono ofiar z jednym sprawcą.



Adam Kupisz nie wyglądał na kogoś, kto byłby w stanie kogokolwiek skrzywdzić. A już na pewno nie wyglądał jak seryjny morderca. Chudy, niski i rudawy, z łysymi plackami i płatami łupieżu był zupełnie przeciętnym facetem. Bojarski zastanawiał się, ile prawdy jest w jego zeznaniach, a ile zabójstw po prostu sobie wymyślił. Jak dotychczas udało się go połączyć z ośmioma morderstwami dokonanymi w ostatnich miesiącach. Bo grę z Mikunem rozpoczął kilka miesięcy temu. To wtedy po raz pierwszy zabił i pozostawił wiadomość dla śledczych. Podpisał się pseudonimem „Zwierz” – taki przydomek nadała mu prasa, taki kryptonim otrzymała sprawa.

Policjant spojrział na Mikulskiego. Zastanawiał się, co się dzieje w głowie kolegi. Od początku przesłuchania milczał i tylko obserwował zatrzymanego. Co jakiś czas mocno zaciskał szczęki. Rosła w nim złość. Złość, która kiedyś będzie musiała znaleźć ujście.

Bojarski pracował z Mikulskim już piąty rok. Kiedy trafił do wydziału, Mikun był już legendą. Miał na koncie kilka spektakularnych spraw i młodszy policjanci patrzyli na niego z podziwem. Gdy naczelnik zdecydował, że to on będzie partnerem Bojarskiego, ten poczuł się wyróżniony. Dopiero z czasem przyszła refleksja – czy podoła wyzwaniu? Ostatnie lata dowiodły, że obawy były bezpodstawne. Uzupełniali się znakomicie i szybko stworzyli team. W wielu sprawach doświadczenie i policyjny nos Mikuna w połączeniu z analitycznym umysłem Bojarskiego przynosiły doskonale efekty. Dopiero przy sprawie Zwierza coś się popsło. Mikun w ostatnich dniach działał sam. Za punkt honoru postawił sobie odnalezienie zabójcy i doprowadzenie go przed oblicze sprawiedliwości.



Kupisz odpalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się głęboko i wypuścił wąską strużkę dymu. Z uśmiechem patrzył na siedzącego przed nim Mikulskiego. Poznał go dwa miesiące temu. To wtedy postanowił wcielić w życie swój plan. Dotychczas był anonimowym zabójcą, nie zależało mu na rozgłosie. Wszystko się zmieniło na tamtej imprezie charytatywnej. Gdy usłyszał, czym

się zajmuje Mikulski, zdał sobie sprawę, że los chce, aby oni dwaj się ze sobą zmierzyli. To było ich przeznaczenie. Pojedynek łowcy i zwierzyny. Musieli tylko ustalić, kto jest groźniejszy. Pseudonim, jaki sobie wybrał, nie oznaczał, że jest ofiarą. Ofiar miało być dużo. Ale on nie będzie jedną z nich.

– Jak już wspomniałem, w domu nie było najlepiej – podjął. – Dżesika chorowała i potrzebowaliśmy pieniędzy. Małgosia skontaktowała się z fundacją, która pomaga takim dzieciom. Jeździliśmy na różnego rodzaju imprezy charytatywne, na bale... Jakaś kasa wpadała. – Przerwał, by zaciągnąć się papierosem. Przez kilka sekund patrzył na policjantów, stojących pod drzwiami.

– Okradałeś swoje ofiary? – spytał Bojarski.

Zwierz odwrócił się w jego stronę z uśmiechem.

– Czasem, jak miały przy sobie pieniądze. Nie brałem biżuterii ani kart płatniczych, bo z tym łatwo wpaść. Tylko gotówka. Potrzebowałem trochę grosza przy duszy, bo w domu się nie przelewało. Ale nie zabijałem dla kasy. Czasem się zastanawiałem, czy gdyby jakaś mafia zaproponowała mi, żebym dla nich zabijał, nadal sprawiałoby mi to frajdę. W sumie połączyłbym pracę z pasją.



Spokojnie, Mikun, spokojnie, nie daj się sprowokować, powtarzał sobie w duchu, patrząc na siedzącego przed nim zwyrodnialca. W głowie wciąż brzmiały mu słowa, które wyszły z ust Kupisza, gdy go tu wprowadzano. Wiedział, że to, co zrobi, spowoduje jego upadek. Kariera, na którą tak długo pracował, legnie w gruzach. Jednak to było jedyne rozwiązanie. Historia rozliczy go z tego, co zrobił.

Powoli palcem wskazującym odpiął zatrzask kabury. Spojrzał na Bojarskiego, który spacerował po pokoju, a potem powolnym ruchem wyjął służbowego glocka 17, wymierzył w Zwierza i zaczął ściągać palec na języku spustowym. Patrzył, jak Kupisz wytrzeszcza oczy. W oddali ktoś krzyknął:

– Mikun, nie!

Zmrużył oczy i nacisnął spust. Pokojem wstrząsnął huk wystrzału. Głowa Kupisza odleciała do tyłu. Mikun nacisnął jeszcze kilka razy i ciałem zabójcy wstrząsnęła celna seria. Zwierz przewrócił się wraz z krzesłem. Jego ciało leżało bezwładnie, oczy patrzyły w sufit niewidzącym wzrokiem. Lewa strona szczęki była zakrwawiona – to tam trafiła pierwsza kula.

Krzyki ledwo do niego docierały, słyszał je jakby z oddali. Poczł, jak czyjeś ręce chwytają go za ramiona, jak ktoś wytrąca mu z dłoni wciąż dymiący pistolet. Popatrzył po twarzach kolegów.

– Coś ty, kurwa, zrobił?! – zagrział Bojarski.

Kątem oka zobaczył, jak otwierają się drzwi i do pokoju wpada naczelnik z komendantem wojewódzkim. Usłyszał jęk:

– Ja pierdolę, posprzątajcie tutaj...

Nie opierał się, gdy ktoś go podniósł. Nie walczył, słysząc dźwięk kajdanek zatraskiwanych na jego nadgarstkach.

Pustym wzrokiem spojrział na Zwierza i wyszeptał:

– Już nigdy nikogo nie skrzywdzisz...

2.

Dwa miesiące wcześniej

Wrocław, 15 lipca 2017 r.

Nie lubił takich imprez. Czuł się na nich co najmniej niepewnie. W początkach policyjnej kariery wiele razy musiał uczestniczyć w podobnych kwestach, ponieważ Anna prowadziła fundację wspierającą dzieci. To już siedemnaście lat...

Gdy urodził się Wojtek, pierwsza diagnoza mroziła krew w żyłach. Zespół Downa – to brzmiało jak wyrok. Reakcje znajomych bolały. Większość dawnych kolegów naśmiewała się z jego syna. Zerwał wtedy właściwie wszystkie kontakty, stał się samotnikiem. Poświęcił się pracy i rodzinie. Wraz z Anną uczestniczył w eventach, na których starano się uzyskać wsparcie dla dzieci, które według opinii innych nigdy nie powinny się urodzić.

Dwa lata temu wszystko się zmieniło. Wojtek zadławił się w trakcie snu i zapadł w śpiączkę. Patrzył, jak jego jedyne dziecko leży w łóżku bez ruchu, niczym martwe. Płytki oddech, wspomagany za pomocą respiratora, świadczył jednak o tym, że życie wciąż z niego nie uciekło. Anna starała się łączyć pracę w fundacji z opieką nad synem. Starala się pomóc nie tylko swojemu dziecku, ale rodzicom dzieci podobnych do Wojtusia. On, jako policjant komendy wojewódzkiej, miał mniej czasu. Z czasem powodowało to coraz częstsze kłótnie. Anna ciągle robiła mu wyrzuty, że wszystko jest na jej głowie. I miała rację. Czuł, że postępuje źle, poświęcając się pracy i biorąc nadgodziny. Robił to jednak, żeby nie zwariować. Widok zašli-

nionego syna, który nie reaguje na bodźce, wpędzał go w jeszcze większą depresję. W końcu mógłby zrobić coś, czego żałowałby do końca życia. Już kilka razy łapał się na tym, że zastanawia się nad skróceniem męczarni swojej rodziny. W mediach często pojawiały się informacje o rozszerzonych samobójstwach policjantów – funkcjonariusz zabija swoich bliskich, a następnie strzela sobie w głowę. W zmęczonym umyśle Mikulskiego też pojawiały się takie myśli. Za każdym razem jednak potrafił się opanować. Był zbyt silny, żeby zakończyć to wszystko w tak banalny sposób.

Dzisiaj przyjechali na bal zorganizowany przez fundację Dzieci to Skarb, z którą współpracowała fundacja Anny – Dobrze Pomagać. Bal odbywał się w hali Orbita i połączony był z aukcją dzieł wrocławskich malarzy. Dochód ze sprzedaży miał wspomóc działalność obu organizacji.

Sam fakt założenia garnituru sprawiał, że czuł się nie na miejscu. Na co dzień nosił bojówki, wojskowe buty i T-shirt; w zimie jeszcze kurtkę. Strój był jego znakiem rozpoznawczym. Gdy wysiadał z samochodu, w okolicy nastawał spokój. Nie pracował jako wywiadowca czy krawężnik, ale zbóje wiedzieli, że jest psem, który kieruje się jasnymi zasadami. Na pewne rzeczy mógł przymknąć oko, jeżeli widział, że w przyszłości przyniesie to więcej korzyści. Dzięki takiemu działaniu miał wielu informatorów i potrafił w szybki sposób zdobyć wiarygodne informacje.

Uważnie rozejrzał się po sali. Wiele twarzy kojarzył z poprzednich imprez, kilka znał z telewizji lub prasy. Część była nowa. Zastanawiał się, kiedy się zaczęło. Bo zawsze prędzej czy później ktoś zdradzi, czym się zajmuje, i zalewały go pytania typu: A czy w Polsce są seryjni zabójcy? A z jaką najstraszniejszą zbrodnią się spotkał? A czy istnieje zbrodnia doskonała? Ilekroć zaczynała się zabawa w sto pytań do, miał ochotę zniknąć. Zawsze jednak cierpliwie odpowiadał na wszystkie pytania. Dla wyższego celu. Dziś pewnie nie będzie inaczej.



Nie miał zamiaru uczestniczyć w tej maskaradzie, ale Małgośka go zmusiła. Miesiąc temu okazało się, że Dżesika oprócz autyzmu ma problem z sercem. Gdyby nie autyzm, nie byłoby wielkiego problemu. Standardowe

leczenie farmakologiczne przyniosłoby rezultaty. Jednak w jej przypadku zwykle leki mogły wywołać niepożądane efekty uboczne. Konieczna była specjalna kuracja, a ta kosztowała ogromne pieniądze. Nie było ich na to stać. Dlatego Gośka skontaktowała się z organizacją Dzieci to Skarb.

Pierwszy raz był na takiej imprezie. Nie wiedział, jak się zachować. Na początku krążył między ludźmi, zbitymi w niewielkie grupki, i przysłuchiwał się rozmowom. Najbardziej zainteresował się młodą dziewczyną, która z pasją opowiadała, jakie niespodziewane zyski przyniósł ostatni bal.

Czuł, że wynudzi się tu okropnie. W myślach zaczął wybierać ofiarę. Chciałby zobaczyć miny tych osób, uśmiechających się do siebie tak słodko i tak nieszczerze, gdyby się okazało się, że gdzieś na zapleczu ktoś odkryje zwłoki. Zastanawiał się, czy nie podjąć ryzyka i nie załatwić kogoś w trakcie balu. Wciąż się rozglądał.



Wszystko zaczęło się wcześniej niż zwykle. Pił sok jabłkowy, skryty w kącie sali, gdy podeszła do niego Anna wraz z dwiema kobietami. Jedną kojarzył z wcześniejszych imprez. Starał się sobie przypomnieć, jak ma na imię, gdy żona zawołała:

– Tutaj się ukryłeś! Pamiętasz Izę?

Skinął głową, chociaż dałby sobie ją uciąć, że kobieta nazywała się inaczej. Stawiał na Weronikę albo Angelę.

– Witam pana policjanta – powiedziała Iza. – Cieszę się, że możemy się znowu spotkać.

– Dobry – odburknął, po czym wziął łyk soku.

– Co pan taki nie w sosie? Spokojnie, głowa do góry. – Kobieta się uśmiechnęła, po czym wskazała na swoją koleżankę. – To Agnieszka. Też ma dziecko z zespołem Downa.

Mikulski też się uśmiechnął. Zdawał sobie sprawę, że grymas nie wygląda na szczery, ale nie przejmował się tym. W sumie nie przejmował się tymi ludźmi w ogóle. Gdyby nie Anna, nie byłoby go tutaj.

– Słyszałam, że jest pan policjantem – odezwała się Agnieszka. – Po-
noć prawdziwa sława z pana.

– A kto tak powiedział? – spytał.

Kobieta, lekko skonsternowana, popatrzyła dookoła.

– Pańska żona i jeszcze kilka osób.

Mikulski też się rozejrzał. Zauważył, że w pobliżu zaczęła się zbierać niewielka grupa ludzi. Kilka twarzy kojarzył. *Zaczyna się*, pomyślał.

– Co słyhać w świecie zbrodni? – zagaił mężczyzna, którego pamiętał z ostatniej imprezy. Już wtedy facet był zanadto dociekliwy.

– Nic ciekawego.

– Ostatnio sporo myślałem i stwierdziłem, że jednak istnieje zbrodnia doskonała – brnął facet.

– Ja się z taką nie spotkałem – odparł Mikun. – Czasem trwa to dłużej, czasem krócej, ale w końcu sprawca trafia przed oblicze sprawiedliwości.

– A Kuba Rozpruwacz?

– To były inne czasy. Gdyby teraz grasował w Londynie, wsadzenie go za kratki byłoby kwestią kilku miesięcy.

– Czyli uważa pan, że w kilka miesięcy można odkryć, kto odpowiada za seryjne zabójstwa? – dobiegł głos z boku.

Mikun spojrział w tamtą stronę. Nigdy wcześniej nie widział tego faceta. Chudy, łysiejący, a na dodatek rudy. Uśmiechał się w dziwny sposób, jakby rzucił wyzwanie.

– Owszem, dzięki nowoczesnym technikom i rozwojowi nauki można w szybki sposób ustalić sprawcę.

– Gadanie – prychnął nieznajomy. – Gdyby w kraju pojawił się seryjny zabójca, dałbym sobie rękę uciąć, że nie złapałibyscie go w tak krótkim czasie.

– Na szczęście nie ma aż takich psycholi – wtrąciła Agnieszka.

Mikulski spojrział rudemu w oczy.

– Dwa, maksymalnie trzy miesiące. Ale tak jak powiedziała pani Agnieszka, nasz kraj to nie USA. Tam się szacuje, że rocznie grasuje ponad dwa tysiące seryjnych zabójców. Umierają, są łapani lub zabijani, ale na ich miejsce pojawiają się nowi. My na szczęście jesteśmy w tej kwestii zacofani.

Rudy nie odpowiedział. Skinął tylko głową i podniósł swoją szklankę, jakby wznosił toast.

Potem puścił oko do Mikuna i odszedł.



Początek rozmowy policjanta z tymi kobietami go zaciekał. Chwilę słuchał, sam zadał kilka pytań. A potem zniknął mu z oczu. To dobrze, że nie zdecydował się działać w trakcie imprezy. Gdyby w pobliżu odnaleziono zwłoki, śledczy pewnie prześwietliliby każdego, kto brał w niej udział. Jego przeszłość mogłaby wyjść na światło dzienne. Nie wywinąłby się tak łatwo.

Zanim wyszedł, patrzył jeszcze przez chwilę na faceta, który kontynuował rozmowę o seryjnych zabójcach.

– Przepraszam, mam pytanie – zaczepił stojącą obok kobietę. – Czy zna pani tamtego mężczyznę? – Wskazał palcem. – Tego policjanta.

– To chyba mąż Anny Mikulskiej... – Kobieta zmrużyła oczy. – Tak, to on. Nazywają go Mikun albo jakoś tak.

Wiedział już, co ma robić.